

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

24

Nie dziwiłem się już teraz elektrycznym płomieniem przesuwającym się podczas burzy, ponad tem szczególnem zalesieniem. Ale gdzie podziwiała się olbrzymia ilość nagromadzonego fluidu podczas każdej burzy, to znaczy dnia każdego? Był to ciekawy problem do wyjaśnienia i napróżno gubiłem się w przeróżnych najskrajniejszych domysłach! Szedłem dalej wzdłuż lasu i przybyłem do rozległej przestrzeni, wyłożonej wielkimi płytami z przezroczystego kryształu, z pod których dobiegł mnie szmer płynącej wody. Ukląknęłam i poprzez objętość tych ścian szklanych dostrzegłem wielki metalowy bal, na którym umieszczone były rozliczne mniejsze kable ginące pod powierzchnią wody jakiegoś jeziora lub może podziemnego kanału.

Sledząc kierunek największego bala, zobaczyłem, że biegnął on w stronę podnóża gigantycznej góry, pod którą ginął.

Nie wątpiłem już, że każdy z tych kabli dosięga stóp jednego z drzew metalowych.

A więc cała olbrzymia energia siły elektrycznej, uwięziona setkami tysięcy konduktorów chroniących, była absorbowana i zużytkowana! Ale w jakim celu? do jakiej pracy?... i to przez straszne stworzenie zamieszkujące górę! Kimże był ten tajemniczy potwór, któremu nie obce były własności siły naturalnej przyrody, który bawił się niemi dla własnej przyjemności zapewne i kaprysu?

Byłem tak zajęty uczynionem odkryciem, że przeszedłem, nie zdając sobie z tego sprawy, przestrzeń wyłożoną taflami z kryształu i zagłębiłem się w las, gdzie najłżejszy powiew wiatru, poruszający jego szczególnem rozgałęzieniem, wywoływał harmonijne dźwięki, jakgdyby dotknięcie strun koncertowej harfy.

— Do czegoż u dyabła służyć może ten prąd potężny! — zawołałem głośno zdjęty dręczącą ciekawością.

I rozmawiając sam ze sobą na podobieństwo szaleńców i ludzi zahipnotyzowanych jedną myślą, szedłem dalej gorączkowo i szybko.

Musiałem iść tak długi czas, bo według mojego obliczenia las ten miał długości co najmniej trzy mile i prawie tyle szerokości.

Zatrzymałem się nareszcie w miejscowości kamienistej i opustoszałej i tylko dla tej przyczyny, że przeciał mi drogę dosyć szeroki strumień. Spostrzegłem wtedy, że przebyłem już całą szerokość lasu elektrycznego i widziałem w oddali rysujący się kształt wulkanu, pod którym rozciągała się przestrzeń pokryta lawą, popiołem i kamieniami.

Zabierałem się do przeskoczenia strumienia, kiedy uwagę moją zwrócił gęsty opar wydzielający się z niego.

Zanurzyłem w nim rękę; woda była gorąca. Przez dziwny zbieg wypadków przypuszczenie moje okazało się trafne, miałem przed sobą źródło gorące, tak często spotykane w bliskości wulkanów. A przyznać muszę, że to szczęśliwe odkrycie nie kosztowało mnie wcale trudu i pracy.

Byłem bardzo zadowolony, bo teraz mogłem już bez zwłoki przystąpić do naprawy mojej rozbitej łodzi.

Szczęście, które mnie niespodziewanie nawiedziło, wpłynęło bardzo korzystnie na moje usposobienie i energię. Zabierałem się już do powrotnej drogi po moje czółno, gdy przyszła mi nagle fantazja podążyć za biegiem strumyka, który biegł w stronę podnóża góry.

Po drodze przyłączały się do niego maleńkie źródelka o żółtych, brudnych wodach, po przykrewoni których poznałem, że są źródłami kwaśnej wody mineralnej, również często spotykanej w sąsiedztwie wulkanów. Po uszkodzonych, zżartych czerwoną rdzą brzegach i kamieniach przekonałem się, że woda ta posiada najsilniejsze składniki różnych ostrych kwasów, przeżerających nawet kryształ najgrubszy.

Mieszając się z wodą gorącego źródła kwasy te nadały mu swoją właściwą cechę i gdy doszedłem do podnóża potwornej góry, zauważyłem, że niepostrzeżenie niszcząca praca tych wód utworzyła w kamieniu zagłębienie wysokości metra. Prąd wbiegał w tą maleńką grootę, skąd wychodził o kilka kroków dalej gubiąc się w smrodliwym bagnie, cunającym siarką, a które przypominało mi okolice sławniej zwiedzanej Etny.

Zatrzymałem się przed grota i obejrzałem dokładnie kamień, który pokrywał całą górę; w miejscu, gdzie był naruszony działaniem niszczącym kwasu, był zupełnie podobny do kamienia o różowych i zielonych refleksach, z którego składał się mój kask, a który brałem za opał.

Miałem nową zagadkę do rozwiązania, ale nie przywiązywałem do niej zbytnej uwagi.

Wzamian opanowała mnie ciekawość wtargnięcia do groty maleńkiej, której wejście założone było tylko kilkoma drobnymi kamieniami. Lęk i złe przeczucia opuściły mnie zupełnie i czułem się wogóle dobrze usposobiony.

Wsunąłem się pod sklepienie, zginając się i uszedłem w ten sposób kilka kroków początkowo wśród ciemności a dalej otoczony słabym światłem, podobnym do blasku księżyca. Grota miała zaledwie dziesięć kroków długości i zakończona była zagłębieniem półokrągłym, skąd wypływało to dziwne księżycowe światło.

Przybliżyłem się i patrzyłem jak patrzy się przez zamgloną szybę i w pierwszej chwili ujrzałem tylko niezdeterminowane kontury jakichś nagromadzonych przedmiotów, których kształtu rozróżnić nie mogłem.

Ale nagle wewnętrzne światło wzmogło się i mogłem widzieć doskonale. W moich najszańszych przypuszczeniach nie byłbym w stanie wyobrazić sobie czegoś podobnego. Prawda była straszniejsza i najprawdopodobniejsza, od najfantastyczniejszej wizji podniecone wyobraźni.

Nie wiem doprawdy, jakich mamużyć słów do określenia wam tego, co ujrzałem.

Miałem przed sobą gigantyczny, potworny obraz mózgu, któremu ta olbrzymia góra służyła jako czerp ochronny.

Widziałem doskonale rozliczne, wielkie kłapy mózgowe, tak rozległe jak wzgórza i rozgałęzienie arterii, podobne do prądów źródłanych.

Gigantyczne organa skapane były w jakimś sforycznym płynie, widzialne dla mojego oka. Widziałem pulsację krwi potężną, pracującą wspaniałym ruchem doskonałej maszyny. Zdawało mi się nawet, że prąd ciepły buchał do mnie poprzez gęstą zasłonę przezroczystych kamieni.

Nigdy jeszcze nie odczuwałem podobnie potężnego zdumienia. Wierzyć nie chciałem rzeczywistości, występującej do mnie w takiej formie i niepewny byłem, czy też nie jestem poprostu igraszka szatańskiej halucynacji.

Ten twór cudowny, tak daleki od wszelkich normalnych hydatyz, przytłaczał mnie zdziwieniem i grozą bez nazwy. Pomimo woli jednak, stałem tam z oczami utkwionymi w ten otwór, dający wizję nieskończoności, nie mając siły do ucieczki. Czułem, że coś potężniejszego odemnie, od woli mojej i rozumu każe mi tu pozostać.

Byłem wprost ogłupiały, zahipnotyzowany tym zawrotnym widokiem. Po długiej chwili dopiero, mogłem się oderwać z tego miejsca i zebrawszy całą energię i przytomność umysłu, schronić się do metalowego lasu. Głowę moją rozsadał nienaturalny przypływ krwi, pulsa wściekle biły w skroniach, a duszność w piersiach przyprawiała o zawrót głowy. Czułem, że jestem o krok od szaleństwa.

Ten żyjący dowód cudownych przemian i form żywotnych w przeróżnych tworach świata, pogrążył mnie w jakieś głębokie osłupienie, w którym traciłem zdolność logicznego rozumowania. Ludzie powracający z głębin przepastnych Maelstroemu, i Dante po otrząśnięciu się ze snów, które wiodły go każdej nocy na dno piekła, musiał odczuwać stan podobny.

Zdaje mi się, że przeleżałem godzinę bezwładny, bez myśli, bez żadnej świadomości mojego istnienia.

Gdy powróciłem cośkolwiek do normalniejszego usposobienia, usiłowałem objąć cały ten fakt zjawiskowy, rozumowo i szukać na niego wytłumaczenia.

Najoczywiej, olbrzymi prąd elektryczny metalowego lasu, przeistoczony przez jakiś nieznanym mi jeszcze proceder, dostarczał temu niezwykle zbiornikowi komórek, potrzebnej ilości siły nerwowej, podczas gdy zastępy pożeranych Wampirów zasilali i odnawiali zapas fosforu żywotnego, ilekroć on się już wyczerpywał.

Wyobrażałem sobie przerażającą potęgę takiej masy o sile tego gatunku. Do czego ona nie była zdolna? i co zdziałać mogła skupiona w jeden punkt ta przemożna, nadnaturalna wola! Nie dziwiłem się już bierności Wampirów, którzy przerażeni wprost na odległość tą siłą, przybywali tłumnie, pomimo wolnie ze swoich wież kryształowych do paszczy tej zawrotnej, przyciągającej przepaści.

Ten gigantyczny mózg, wyobrażał w tej części planety, wyrobiony przez naszą imaginację obraz Boga Potęgi. On to do woli swojej sprowadzał huragany i burze i zażegnywał je, stwarzał rośliny

i zwierzęta, stosownie do jego kaprysu. Nie dziwiłem się już teraz twierdzeniom Wampirów, które dotąd uważałem za przesadzone, że stworzenie to straszne widziało wszystko, słyszało, kiedy tylko tego zapragnęło.

Budowla kamienna — utworzona z tego samego materiału, co mój kask, służący mi za czaszkę — pozwalała im zapewne dostrzegać wszelkie niewidzialne światła i promienie, nie potrzebując do tego używać żrenic. Olbrzymia gałka oczna odbierała w prostym kierunku wszelkie wrażenia optyczne. Było to coś, przechodzące najfantastyczniejsze pojęcie ludzkie.

Robert Darvel umilkł po silnem wrażeniu, wywołanem okropną wizją tego wspomnienia. W oczach jego błyszczących zapalił się blask gorączki graniczącej z obłędem.

Niemniejsze wzruszenie objawiali jego słuchacze. Ralf Pitcher nerwowo potrząsał głową, jak gdyby odpędzić chciał myśl jakąś niepokojącą, a po zbladłej twarzy miss Alberti raz po raz przebiegał żywszy płomień, świadczący o wewnętrznym podnieceniu. Mała Cherifa siedząca u jej stóp nie rozumując wszystkiego, instyktownie, przejęta wielką trwogą tuliła się do jej sukni.

— Widzę tysiące zapytań w oczach waszych — odezwał się Robert Darvel, otrząsnawszy się z gorączki, którą wywołały te przeraźliwe wspomnienia. — Zapytujecie się, jak ja człowiek uczony, bo tak przecież nazwać się mogę, a mógłbym dodać jeszcze uczony badacz tamtej planety, mogę sobie w ten sposób tłumaczyć istnienie takiej niezrozumiałej istoty łączącej ją do łańcucha istnień innych! Nie mam na tyle odwagi, aby w podobnej kwestyi wydać stanowcze orzeczenie i pogląd własny, jednakże sądzę, że można poruszyć pewne hipotezy. Czy będą one słuszne sami osądzicie.

Ciekawość i natężona uwaga zabłysła w oczach słuchaczy. Miss Alberta chłoneła wprost słowa narzeczonego.

— Przypuszczam — rzekł Robert Darvel — że wampiry są tylko zarysem, próbą istoty dziwnej i potężnej, którą widziałem. One już teraz mają wygląd wyłącznie przypominający wielki mózg; odrzucając skrzydła i macki będą już podobne do tamtego, potężnego stworzenia. Przypomnijcie sobie co wam już mówiłem o energii i woli, o potędze sugestii u tych istot pozbawionych kłów i pazurów.

Przypuśćmy, że w przyszłości dalekiej zdolności te dojdą do szczytu doskonałości i rozwinięcia. Ale to nie wytłumaczy, powiecie mi skąd wzięła się potworna objętość jego mózgu; odpowiem wam, że przypuszczam, iż składa się on z tysiąca komórek złożonych, złączonych w jedną przez jakąś ewolucję nieznaną.

Nie jest to nieprawdopodobne, choć wydaje się to takim na pierwszy rzut oka.

Wyobraźmy sobie, że człowiek w przyszłości przy pomocniczej sile nauki i czasu pozbędzie się swoich zwierzęcych organów i stanie się tylko materią myślącą.

Zanik organów trawienia i ruchu sprawi mu dobroczynną ulgę i wpłynie dodatnio na rzeźkość umysłu; żyć się będzie wyłącznie kroplą ze skoncentrowanego pożywienia, organizm jego nie będzie już bowiem podatny do innej czynności, a wola jego i energia spotęguje się w dwójnasób przez ulżenie ciężarowi, który ciężzył mu poprzednio.

Zauważcie, że już teraz każdy człowiek oddany pracy intelektualnej nie uczuwa już potrzeby ruchu; człowiek, który czyta, pisze lub słucha i mówi jest w stanie fizycznej beczynności, a w zgromadzeniu ludzi, u których wiedza i nauka zagłodzi wszelkie braki i niedokładności zdarza się ze ścisłością matematyczną, że wszyscy prawie przejęci są tą samą myślą.

Stąd do przypuszczenia, że materialne siedlisko umysłowe stanie się jednakowe dla wszystkich, że tysiące myślicieli posiadać może razem jeden wielki mózg, jesteśmy bardzo już blisko.

Ale to twierdzenie, do którego później powrócę, mogłoby mnie teraz zaprowadzić za daleko, przechodzę więc do dalszego opowiadania.

Cały ten dzień przepędziłem zajęty głębokiem rozmyśleniem. Wyobrażałem sobie egzystencję tej istoty, uspiętej w marzeniu samoistnie stworzonem czujnej na objawy życia tej planety, któremu kierowała do woli, a może zastanawiającej się i analizującej w tej chwili nowy wysiłek własny do nowego etapu wiecznej doskonałości, ku lepszej i piękniejszej jeszcze przyszłości. I mimowoli porównywałem go do nieśmiertelnego Budhy, zamyślnego filozoficznie nad ogromnym kwiatem białego lotosu.

Już teraz nie doświadczałem najbliższego cienia